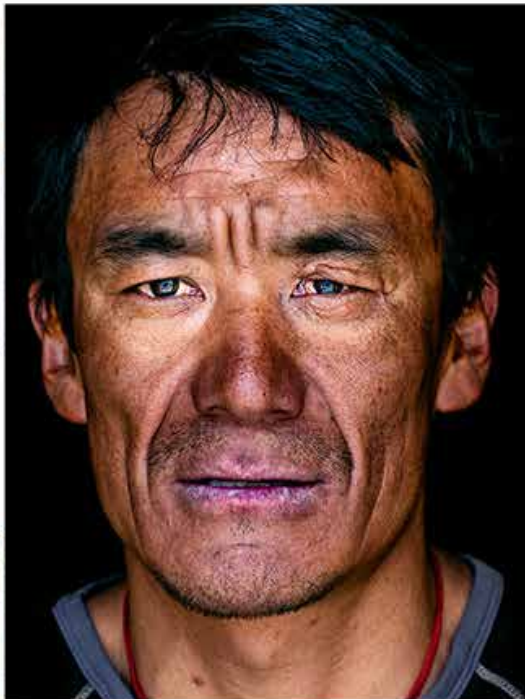




**Nieopowiedziane historie  
spod najwyższej góry  
świata**



# **W cieniu Everestu**

**MAGDA LASSOTA**





# **W cieniu Everestu**



# **W cieniu Everestu**

---

**MAGDA LASSOTA**

**Kraków 2020**

## W cieniu Everestu

Copyright © Magda Lassota 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Agnieszka Zygmunt

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografie na okładce – Magda Lassota

Fotografie wewnątrz książki – Magda Lassota

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788381298063



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Tomasz Czernich

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Pluska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqncore.pl](http://www.sqncore.pl)

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

*Książkę tę dedykuję Dziadkowi Frankowi,  
który odszedł w wieku 99 lat,  
miesiąc przed moim wyjazdem w Himalaje.  
Wierzę, że to jemu zawdzięczam miłość do podróży.  
Wierzę, że się mną tam opiekował,  
bo tak mi obiecał przed śmiercią.*





## SPIS TREŚCI

Tego się nie spodziewałam	17
Przygotowania	23
Ląduję w Nepalu	27
Uczestnicy wyprawy	31
Namcze Bazar	43
Ruszamy	59
W cieniu Everestu	79
Lobuche East	95
Jesteśmy w komplecie	105
Everest Er	111
Obchód	129
Mobilne studio fotograficzne. Jagged Globe	157
Rotacja	181
Najwyżej położona kafejka internetowa świata	189

Z szerpami	193
Bogowie base campu	203
W hidżabie na dach świata	213
Kiedyś było lepiej	221
Czekanie	225
Codziennie to samo	235
Irlandia na Evereście	245
„Najgorsza agencja pod Everestem”	263
Dobry dzień w bazie	273
Helikoptery	281
Bracia	289
Porozmawiajmy o śmieciach	297
W obozie bez zmian	303
Niemal wszyscy się boją Icefallu	309
Nikt nie może się dowiedzieć	323
Najlepszy w świecie kompromisów	329
Są tylko dwa wyjścia	343

Amerykański sen	355
Za Shaya	361
Po Evereście	365
Postowie	397
Podziękowania	399





Icefall i światła czołówek wspinaczy  
w drodze na Everest



**T**rzecia rano. Nie marznę, mam na sobie bieliznę termoaktywną, polar, kamizelkę puchową, cienką kurtkę puchową, a na niej drugą, znacznie cieplejszą. Na nogach puchowe spodnie, na stopach grube skarpety z wełny merynosa, buty trekkingowe. Do tego ciepłą czapkę, grube rękawice i na wszelki wypadek łapawice w plecaku. Dopiero gdy wciągam do płuc zimne nocne powietrze, stwierdzam, że może być nawet minus 15 stopni.

Nie muszę iść daleko, wystarczy, że minę nasze mesy i wdrapię się na wzgórze oddzielające obóz od głównej drogi, biegnącej znacznie poniżej. Jestem w centralnym punkcie bazy. Mam szczęście, że mieszkam właśnie tutaj. Za plecami Pumori, przede mną Nuptse i, nieco z lewej strony, Icefall. Na Icefallu widać setki świateł czołówek. Dziś dużo zespołów wychodzi na rotacje. Przysiadam na kamieniu. Jest spokojna, bezwietrzna noc, nade mną rozgwieżdżone niebo.

Dopiero po chwili rozkładam statyw, wyciągam aparat, ustawiam na statywie. Robię dokładnie 10 zdjęć. Jedno z nich będzie moim ulubionym z całej wyprawy. Zdejmuję aparat, chowam do plecaka, składam statyw. Ale nie wracam do namiotu. Zostaję jeszcze i patrzę na strumień światła wijący się w górę. Ilu ludzi przedziera się teraz przez lodospad Khumbu, co czują, czy się boją, czy będą bezpieczni? Nie mogę oderwać od nich wzroku.

Lodowiec pode mną ani na chwilę nie cichnie. W nocy, na mrozie, kurczy się, pęka, trzeszczy i napawa lękiem. Co jakiś czas słyszę większy huk, może to spada jakiś kamień, może gdzieś oberwał się serak, a może głębiej, pode mną, tworzy się właśnie szczelina. Słyszę też schodzące lawiny, chyba niewielkie, bo nie tak głośne jak te, przy których ze strachu przestaję oddychać. Po 4.00 wracam do namiotu. Może jeszcze uda mi się zasnąć.



**N**igdy nie chciałam wchodzić na Everest. Nie interesowało mnie to. Bo niby dlaczego tak skrajnie się męczyć, marznąć, narażać życie własne i innych? Nie rozumiałam, dlaczego ludzie za wszelką cenę chcą stanąć na jego szczycie.

A jednak zaczęłam o nim myśleć, choć nie pamiętam, kiedy dokładnie pojawił się w mojej głowie. Pecha ma ten Everest, myślałam sobie, że jest najwyższy, a obiektywnie rzecz biorąc, wcale nie najtrudniejszy. Bo gdyby najwyższe było na przykład K2 albo Annapurna, to czy aż tylu ludzi zdecydowałoby się na wspinaczkę na nie?

Jednak w pewnym momencie i ja ulegnę tej gorączce. I mnie zacznie góra gór przyciągać, kusić. Przyjdzie chwila, w której nie będę potrafiła się jej oprzeć i pierwszy raz pomyślę, że ja też chcę wejść na Everest. Ta myśl będzie w takim samym stopniu ekscytująca, co przerażająca.



## TEGO SIĘ NIE SPODZIEWAŁAM

---

**Z**eby dojść do bazy pod Everestem, najpierw musiałam się kompletnie rozsytać. I choć nie znoszę powiedzenia „co cię nie zabije, to cię wzmocni”, to jednak coś jest na rzeczy.

Maj 2015 roku był najtrudniejszym okresem w moim życiu. Za dużo oczekiwań, jeszcze więcej rozczarowań, zawodów, do tego rozstanie z partnerem, poczucie potwornej pustki, brak sensu. Przyszło wyczerpanie, a potem załamanie, z którego sama nie potrafiłam się podnieść. 25 maja zostałam przyjęta na oddział szpitala psychiatrycznego w Warszawie. Dochodzenie do siebie zajęło mi prawie rok. Od komunału, że co cię nie zabije, to cię wzmocni, jeszcze bardziej nie lubię twierdzenia, że wszystko jest po coś – ale i w nim coś jest. Po wielu miesiącach leczenia i terapii stanęłam na nogi. I choć daleko mi jeszcze do stabilności, choć nadal nie jest łatwo, czuję się dużo silniejsza niż wcześniej.

Gdy wiosną 2019 roku dotarłam do bazy pod Everestem, mijała czwarta rocznica mojego rozsypania się i nowego początku. Wtedy właśnie, cztery lata wcześniej, na oddziale szpitala psychiatrycznego, na zajęciach grupowych, gdy mieliśmy pokazywać, gdzie widzimy się za kilka lat, biegałam po małej, dusznej sali, udając samolot, a gdy wylądowałam, zasiadłam do niewidzialnego biurka i zaczęłam pisać na niewidzialnej

maszynie. Przypomniałam sobie tę sytuację dopiero po powrocie z Himalajów. Napisałam wówczas parę artykułów, zrobiłam kilka wystaw swoich fotografii, prowadziłam prelekcje, byłam w radiu, w telewizji i, jakby tego było mało, dostałam propozycję napisania książki. Jaka byłaby teraz mina A., jednego z „współwięźniów”, który kazał mi się puknąć w głowę, bo przecież drugą Martyną W. nie zostanę. No i nie zostałam, ale takiego obrotu spraw też się nie spodziewałam.

Nie jestem himalaistką. Nie chodzę po górach wyczynowo. Wydaje mi się, że mieszczę się gdzieś pośrodku skali między profesjonalistą a niedzielnym turystą. Nie biję rekordów prędkości ani wysokości, ale lubię wchodzić wysoko, lubię pokonywać duże dystanse i lubię się zdrowo zmęczyć. W górach odnajduję spokój i nie ma dla mnie nic ważniejszego niż te chwile wytchnienia. Kiedyś wspinałam się na ścianie i w skałkach, ponoć nawet nieźle, ale to było wiele lat temu. Wtedy też przeszłam dwie operacje nadgarstka i do wspinaczki nigdy nie wróciłam – może i dobrze, bo wspinając się, zawsze się bałam. W ogóle nie jestem zbyt odważną osobą. Boję się ciemności, starości, samotności, wielu zwierząt i wielu ludzi. Zimna też się boję, więc pomysł spędzenia dwóch miesięcy na lodowcu to przejaw prędzej głupoty niż odwagi.

Natomiast jednego jestem pewna: kocham góry. Nie jestem tylko pewna, kiedy ta miłość się zaczęła. Gdy miałam kilka miesięcy, moi rodzice wraz ze mną, moją starszą o rok siostrą i bratem bliźniakiem przeprowadzili się z Warszawy do Kotliny Kłodzkiej, do niewielkiej wioski otoczonej górami. Czy to rzeczywiście miało wpływ na moją miłość do gór? Moja siostra na przykład woli morze, a ja morza nie znoszę. Nie wysałam tej miłości z mlekiem matki, nikt mnie od najmłodszych lat

w góry nie zabierał. Na Śnieżnik, najwyższy po stronie polskiej szczyt w Sudetach Wschodnich, rodzice weszli po raz pierwszy po 20 latach mieszkania u jego podnóży. Nie pamiętam, kiedy ja pierwszy raz stanęłam na Śnieżniku, ale było to w liceum i była to szkolna wycieczka. Nie wydaje mi się, żebym się wtedy zakochała. A teraz, kilkanaście lat później, wchodzę na tę górę zawsze, gdy wracam do domu. Dla przyjemności, treningowo, bo czuję, że muszę. I za każdym razem w duchu dziękuję rodzicom, że zdecydowali się wyprowadzić z Warszawy i wybudować dom u podnóża gór.

Wychowywałam się więc w Kotlinie Kłodzkiej, do szkoły chodziłam w Kotlinie, a na studia wyjechałam do Wrocławia. Studiowałam filologię niderlandzką i na czwartym roku wybrałam się na Erasmusa do Antwerpii. Wybrałam wyższą szkołę dla tłumaczy i tak oto zostałam tłumaczem. A przynajmniej wtedy zaczęłam się nim stawać. Piąty rok studiów, już w Polsce, skończyłam w trybie eksternistycznym, bo pracowałam w holenderskim biurze tłumaczeń, które właśnie przeniosło się z Amsterdamu do Wrocławia. Przez trzy lata byłam kierownikiem projektu i korektorem, a gdy odeszłam, zaczęłam tłumaczyć jako freelancer. Ponieważ do pracy potrzebowałam tylko komputera i internetu, mogłam tłumaczyć w każdym miejscu na świecie. Na dwa lata wyjechałam z chłopakiem do Paryża. Po tym czasie rzuciliśmy wszystko i wyruszyliśmy w prawie półroczną podróż, najpierw na miesiąc na Karaiby, potem do Ameryki Południowej. Ja zaoszczędziłam pieniądze, on dostawał francuski zasiłek dla bezrobotnych. To właśnie tam, w Ameryce Południowej, zaczęły się prawdziwe trekkingi i naprawdę wysokie góry.

W Boliwii, bez żadnego przygotowania i wiedzy o używaniu raków i czekana, zdobyłam swój pierwszy sześćtysięcznik,

Huayna Potosi. Rzecz jasna, nie sama, na szczyt prowadził mnie lokalny przewodnik. Klęłam na czym świat stoi, bałam się, że zginę, wiele razy chciałam zawrócić, ale udało się. Stałam na szczycie. Nigdy nie zapomnę tamtego uczucia. To było szczęście. Na inny sześciotysięcznik, Cotopaxi, w Ekwadorze, nie udało mi się wejść i strachu, który wtedy czułam, też nigdy nie zapomnę. Atak szczytowy zaczęliśmy chwilę po północy, w kompletnej ciemności. Niebo było zachmurzone, więc księżyc nie oświetlał drogi, śnieg sypał coraz gęściej, a wiatr z trudem pozwalał się utrzymać na nogach. Gdy po raz kolejny musiałam iść na kolanach, żeby przy silnych podmuchach nie stracić równowagi, przypomniało mi się, że gdy byłam mała i miałam sporą niedowagę, to znajomy rodziców śmiał się ze mnie i straszyl, że jak mocniej zawieje, to odleczę. Wtedy, na tej górze, było to bardzo prawdopodobne. Miało to też miejsce dokładnie rok po tragedii na Broad Peak, którą żyła cała Polska. Podczas wspinaczki, podobnie jak wtedy Tomkowi Kowalskiemu, z butów spadały mi raki i byłam przerażona, że może nie udać mi się bezpiecznie zejść z tej góry. I mimo że rzeczywiście tak jest, że najpierw człowiek się boi, marznie, cierpi, a potem schodzi, otrzepuje się i chce więcej, to jednak ja za bardzo się boję, żeby myśleć o ośmiotysięcznikach, a zwłaszcza o Evereście.

Jeśli chodzi o fotografię, to takiego obrotu spraw też się nie spodziewałam. Mój były chłopak fotografował, ale gdy byliśmy razem, przez myśl mi nie przeszło, że ja też mogłabym kiedyś to robić. Później trochę plułam sobie w brodę, że nie słuchałam, gdy chciał tłumaczyć, że nie patrzyłam, gdy postedytował, że tyle czasu straciłam na chwalenie się chłopakiem fotografem, zamiast się czegoś nauczyć. Po naszym rozstaniu kupiłam aparat, taki z niższej półki, i sama zaczęłam robić zdjęcia. Głównie po to, żeby mieć pamiątkę z podróży. Dziwiło mnie,

że podobają się innym. Aparat wymieniłam na profesjonalny i niedługo potem przyszły pierwsze sesje zdjęciowe, a wraz z nimi – pierwsze pieniądze z fotografii. Mimo to wciąż byłam niezadowolona z efektów, frustrowało mnie, że tak mało wiem, że właściwie niewiele umiem. We wrześniu 2016 roku zapisałam się do szkoły fotograficznej i tam nagle otworzył się przede mną zupełnie nowy świat – nieznanych mi dotąd wrażeń, doświadczeń, emocji. Nie przegapiłam żadnych zajęć, żadnych konsultacji, dużo ćwiczyłam i dużo pytałam. Zachłystnęłam się fotografią. Niespodziewanie znalazłam dziedzinę sztuki, w której się sprawdzałam. Wysoko postawiłam sobie poprzeczkę i szybko robiłam duże postępy. Po półtora roku moje zdjęcia znalazły się na wystawie. Niedługo potem przyszły kolejne wystawy.

Wiosną 2018 roku pierwszy raz wybrałam się w Himalaje... zupełnym przypadkiem. Od lat o nich marzyłam, ale wydawało mi się, że będzie to jedno z tych marzeń, które marzeniami pozostają. Kilka miesięcy wcześniej szykowałam się do innej podróży, jednak w ostatniej chwili tamte plany nie wypaliły, a ja zostałam z odłożonymi pieniędzmi i bez mieszkania, bo dla oszczędności wypowiedziałam wynajem i na kilka tygodni przed wyjazdem przeprowadziłam się do znajomych. Pomyślałam wtedy: skoro mam pieniądze, czas i zero zobowiązań, czemu by wreszcie nie pojechać w Himalaje? Kupiłam bilety i w marcu na półtora miesiąca poleciałam do Nepalu. W planach miałam zrobić trekking w regionie Everestu, przejść przez trzy wysokie przełęcze, każda na wysokości grubo ponad pięć tysięcy metrów. Zamierzałam robić zdjęcia, poznawać ludzi, słuchać ich historii. Chciałam zobaczyć i dowiedzieć się więcej niż zwykły turysta. Ostatecznie z trzech przełęczy wyszły tylko dwie, dostałam choroby wysokościowej, potem jeszcze

skręcałam kostkę. Nie zdawałam sobie sprawy, że w Himalajach jest tak trudno. Nie tylko turystom, ale przede wszystkim ludziom, którzy w górach żyją i pracują. Z Nepalu wróciłam ze swoim pierwszym fotoreportażem, *To nie jest kraj dla słabych ludzi*. Moje artykuły pojawiły się w „National Geographic Polska” i magazynie „Góry”. Mówiłam o Himalajach w radiu, miałam kilka prelekcji i dwie wystawy, w Warszawie i we Wrocławiu.

Jeszcze gdy byłam w Nepalu, w głowie zaczęła kiełkować mi myśl o czymś znacznie większym. Nie pamiętam, kiedy dokładnie ten pomysł pierwszy raz pojawił się w mojej głowie, ale miałam pewność, że zrobię wszystko, żeby go zrealizować. Miewam różne pomysły, jednak większość nie zostaje ze mną na długo. O niektórych zaraz zapominam, część, spisana na kartkach wyrwanych z notatnika, przepada nie wiadomo gdzie, a ten uparcie za mną chodził, wracał w myślach, nie dawał spokoju. Chciałam dowiedzieć się, kto wspina się na Everest i dlaczego. I dzięki komu jest to możliwe.

Gdy wróciłam do Polski, od razu zaczęłam się przygotowywać do drugiego himalajskiego projektu – W Cieniu Everestu.



## PRZYGOTOWANIA

---

**M**aksymalnie mogę wydać osiem tysięcy dolarów – powtarzałam sobie. To nie może mnie więcej kosztować, tyle dam radę uzbierać i może jeszcze coś mi zostanie, gdy wrócę do domu. Ostatecznie wydałam dwa razy tyle.

Przygotowania trwały rok. Przez ten czas na przemian przeżywałam wzloty i upadki. Jednego dnia myślałam: to się nie uda, nie ma szans, co ja sobie w ogóle wyobrażam?. Dopiero co zaczęłam robić zdjęcia, piszę też od niedawna, a tu niczym Jon Krakauer w 1996 roku wybieram się pod Everest, żeby rozwikłać zagadkę tej góry. Jeśli spadnę, to z wysokiego konia. Innym razem myślałam, że to jednak może się udać. Ta wiara ujawniła się, gdy inni zaczęli przekonywać się do mojego projektu, gdy pojawili się pierwsi partnerzy, patroni medialni, drobni sponsorzy, gdy udała się zbiórka na portalu Polak Potrafi. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś poza mną rozumie potencjał tego projektu, że postanowił wesprzeć mnie – zwykłą dziewczynę pełną lęków i obaw, która postanowiła spędzić dwa miesiące pod samym Everestem, żeby później o nim opowiedzieć. Pierwszy raz odkryłam w sobie prawdziwą pasję, cel. To było dla mnie zupełnie nowe uczucie – że chcę i mogę dużo osiągnąć. I że tak łatwo się nie poddam.

Długo czekałam, aż nepalska agencja wspinaczkowa zdecyduje, za ile zabrać mnie pod Everest. Trwało to tyle, że już dawno zdążyłam podjąć decyzję, że pojedę, i głośno zaczęłam mówić o tym, że zrealizuję ten projekt. Wtedy przyszła odpowiedź – 10 tysięcy dolarów. A przecież do tego dojść jeszcze miały loty, ubezpieczenia, lekarze, leki, ciepłe ubrania i dodatkowy sprzęt. I za co żyć po powrocie?

Przez kilka miesięcy przed wyjazdem tułałam się między znajomymi, siostrą, bratem, rodzicami, żeby nie płacić za wynajem mieszkania. To był rok ciągnięcia za sobą walizki i dźwigania plecaka. Nie wiedziałam, gdzie będę za tydzień i co mi się przyda: sprzęt fotograficzny, sprzęt na wyjścia w góry, ubrania i buty do biegania, rzeczy do pływania, a może coś bardziej eleganckiego? Często, gdy byłam zmęczona, nie wiedziałam już, skąd, dokąd i w jakim celu tym razem jadę pociągiem. Do, a może z Warszawy, Wrocławia, Krakowa, Lublina; a może do domu rodzinnego, chwilę odpocząć w górach? Czasem, zaraz po przebudzeniu, potrzebowałam chwili, musiałam rozejrzeć się wkoło, żeby rozpoznać, gdzie właśnie jestem i co tu robię.

Pracowałam bez przerwy. Jeśli nie tłumaczyłam, robiłam sesje zdjęciowe, po sesjach obrabiałam zdjęcia, potem znów tłumaczyłam, a w przerwach szukałam możliwości zdobycia brakujących pieniędzy. W końcu zdecydowałam, że zorganizuję zbiórkę na portalu Polak Potrafi. Nie było łatwo, z wielu powodów. Bo trudno jest prosić o pieniądze innych ludzi – bo właściwie czemu ktokolwiek miałby mi dawać pieniądze, żebym zrobiła fotoreportaż pod Everestem? Nawet nie żebym weszła, to może łatwiej byłoby wytłumaczyć, ale żebym mówiła o innych, tych, którzy w przeciwieństwie do mnie będą na tę górę wchodzić. Do tego to była zbiórka typu „wszystko albo

nic” – jeśli nie osiągnęłabym ustawionego przeze mnie limitu, pieniądze wróciłyby do wpłacających, a ja zostałabym z niczym.

W półtora miesiąca udało mi się zebrać 16 tysięcy złotych. Miałam więc na bilety lotnicze, dodatkowy sprzęt, ciepłe wyprawowe ubrania i buty, i jeszcze żeby dopłacić agencji tyle, ile zabrakło mi z oszczędności.

Udało się nawet więcej, niż zakładałam. Garmin wypożyczył mi na wyprawę sportowy zegarek i czujnik temperatury, GoPro – najnowszy model swojej kamerki, a Olympus – cały sprzęt fotograficzny, czyli aparat i trzy obiektywy. Bo gdyby mój się zepsuł, to z projektu nic by nie wyszło.

Nie zamierzałam iść na Everest, ale zamierzałam mieć formę życia. Tak sobie założyłam, choć nie wiedziałam za bardzo, jak robi się formę życia. Nie miałam trenera, nie miałam planu, ćwiczyłam, jak mi się wydawało, że będzie dobrze, i ćwiczyłam dużo. Nie musiałam aż tak bardzo się starać. Żeby dojść do bazy pod Everestem, wystarczy forma, powiedzmy, przyzwoita. To nie jest bardzo trudny trekking, nie jest niebezpieczny ani wymagający technicznie, największym wyzwaniem jest wysokość i – pod sam koniec – zimno. Choć mogę nie być obiektywna, bo przecież robiłam dużo trudniejsze trekkingi, bez tragarzy, hotelików co półtoorej godziny marszu, bez tego, że ktoś trzy razy dziennie przygotowuje dla mnie jedzenie. Wiem, że trekking jest trudny zawsze, bo chodzenie pod górę jest po prostu męczące. Wie to każdy, kto chodzi po górach. Do tego trzeba się przyzwyczaić. Z tą wiedzą i z tą przyzwoitą formą trekking do bazy pod Everestem jest możliwy do zrobienia. Ja jednak miałam nadążyć za ludźmi, którzy właśnie szykowali się do zdobycia tej góry. Tak więc dwa, czasem trzy razy w tygodniu biegałam, raz, czasem dwa razy w tygodniu pływałam, przez miesiąc chodziłam na crossfit. Kiedy tylko mogłam, szłam

w góry. Potem nie miałam już na nic czasu. Im bliżej wyjazdu, tym więcej pracy i mniej treningów. Gdyby więc to podsumować, intensywnie trenowałam przez trzy miesiące, na miesiąc przed wyjazdem w ogóle. To musiało wystarczyć.

W wolnych chwilach, gdy nie pracowałam i nie trenowałam, czytałam o Evereście. Na festiwalach górskich i w antykwariatach kupowałam książki, których nie można dostać w zwykłych księgarniach. Niektóre bardzo stare, pożółkłe, o charakterystycznym „staroksiążkowym” zapachu. Udało mi się dostać autobiografie pierwszych zdobywców Everestu – Edmunda Hillary’ego i Tenzinga Norgaya, książki o pierwszym zimowym polskim wejściu na dach świata czy *Wszystko za Everest* Jona Krakauera, którą poznałam, jeszcze na długo zanim projekt o Evereście urodził się w mojej głowie. W książce Krakauer opisuje tragiczne wydarzenia z 11 maja 1996 roku, kiedy na Evereście w burzy śnieżnej zginęło osiem osób. Sam był wtedy członkiem jednej z komercyjnych wypraw zorganizowanej przez agencję Adventure Consultants. Przed wyjazdem przeczytałam *Wszystko za Everest* jeszcze dwa razy. I zastanawiałam się, co czeka mnie pod Everestem 23 lata po tym, gdy na górę wchodził Krakauer.

## LĄDUJĘ W NEPALU

---

12 marca 2019, Katmandu

– Ja nie chcę umierać! – powtarza Bhanita, siedząca obok Nepalka, trzymając mnie za rękę i z przerażeniem patrząc mi w oczy. Ja też nie chcę, myślę sobie. Chciałabym wreszcie znaleźć się na ziemi. Jedno z najgorszych lądowań w życiu. Bhanita mieszka w Stanach, ale dwa razy do roku odwiedza bliskich w Nepalu. Cały samolot relacji Doha–Katmandu jest pełen Nepalczyków, na co dzień rozsianych po świecie, zarabiających na swoje rodziny. Teraz na chwilę wracają do domu, by wkrótce znów zapełnić samolot lecący do Kataru, a potem dalej: do Malezji, Stanów, Norwegii, Polski.

Nikt tym razem nie umarł. Samolot ostatecznie bezpiecznie ląduje na Tribhuvan International Airport. Z lotniska odbiera mnie Beer Kajee Tamang, którego poznałam podczas zeszłorocznej wyprawy. Jest przewodnikiem, pięć razy stanął na szczycie Everestu. To on przez ostatni rok pomagał mi wszystko zorganizować, żebyśmy mogła zrobić mój fotoreportaż. Ma 35 lat, mniej więcej 170 centymetrów wzrostu i piwny brzuszek, bo – jak żartuje – imię zobowiązuje. Po angielsku mówi słabo, ale wystarczająco, żeby prowadzić ludzi na najwyższą górę świata. Pomaga mu w tym gestykulacja.

Z lotniska jedziemy do domu Dambara, mojego przewodnika z zeszłorocznej wyprawy w Himalaje. To tam będę mieszkać, dopóki nie wyruszę pod Everest.

Godzinę przedzieramy się przez zatłoczone ulice Katmandu. Jest gorąco, duszno, wszechobecny kurz dostaje się też do samochodu, czuję go na twarzy, drapie mnie w oczy i gardło. Jestem zmęczona podróżą i emocjami, głodna, od nerwowej jazdy robi mi się niedobrze. Wreszcie docieramy na miejsce. Wchodzę do domu Dambara i jego rodziny, który opuściłam rok temu, a czuję, jakbym wyszła stąd wczoraj.

Dambara nie ma, od kilku lat nie mieszka w Nepalu, wraca tu raz lub dwa razy do roku. Mieszka w Szwajcarii ze swoją szwajcarską żoną i dwójką dzieci. Żonę poznał na trekkingu, był jej przewodnikiem, zakochali się w sobie, pobrali, wtedy Dambar mógł się do niej przeprowadzić. W Katmandu mieszka jego brat Dhan z żoną Shanti i z siedmioletnim synem Subodhem. To właśnie oni zgodzili się, żebym się u nich zatrzymała.

Nepalczyzy są niezwykle gościnnym narodem, nas, Polaków, zdecydowanie w tej gościnności prześcigają, jeszcze wiele moglibyśmy się od nich nauczyć. Nieważne, jak biedni, jak mało mają w domu, zawsze ugoszczą, nakarmią, dadzą miejsce do spania, za nic nie wezmą pieniędzy, nieważne, jak bardzo chciałoby się im je wcisnąć do ręki. Zapytają, co słyhać, z przejęciem będą słyhać, a potem udzielą rad, buddyjskich, uniwersalnych. W domu u rodziny Dambara mam własny pokój, trzy posiłki dziennie, słodczy, owoce, dostają też butelkowaną wodę, żebym na pewno się nie zatręła.

Po powitaniu, wymianie uprzejmości, zjedzeniu obiadu – pierożków momo nadziewanych warzywami, przygotowanych przez szwagierkę Dambara – i wypiciu ciepłej, słodkiej herbaty wpęlam do łóżka w udostępnionym mi pokoju i zaczynam ryczeć.

Rok na to pracowałam. Rok czekałam, żeby tu wrócić i zacząć swoją przygodę. Niektórzy mówią „przygodę życia”, ale ja wierzę, że w życiu czeka mnie jeszcze niejedna przygoda. Na pewno jest to jednak spore wyzwanie i cholernie się boję. Nie pamiętam dnia, żebym nie zadała sobie pytania, co ja właściwie robię.

To był szalony rok, intensywny, cały czas coś się działo, i może dlatego wydaje mi się, że minął jak jeden dzień, że nic się przez ten czas nie zmieniło, że ja w ogóle się nie zmieniłam. Wciąż niepewna siebie, niepewna tego, co robię, czy sobie poradzę, czy jestem na ten projekt gotowa. I już wybiegam myślami w przyszłość i zastanawiam się, co będzie dalej, gdy wrócę z Nepalu.

Góry zawsze pomagały mi w najtrudniejszych momentach i teraz, gdy ogarnia mnie coraz większa panika, gdy mam ochotę wracać do domu, liczę na to, że znów mi pomogą. Zanim pójdę pod Everest, wybieram się na trekking aklimatyzacyjny, bo wiem z doświadczenia, że aklimatyzuję się bardzo wolno. Wybieram trasę wokół Manaslu, zdecydowanie mniej popularną niż ta pod Everest czy choćby Annapurnę, poza tym te dwie już zrobiłam i chcę zobaczyć nowy fragment Himalajów. Niestety, poza tym uspokajającym, trekking ostatecznie jednak nie spełnia swojego zadania, bo z powodu dużych opadów śniegu i zagrożenia lawinowego nie udaje mi się zdobyć przełęczy Larkya La Pass na wysokości 5213 m n.p.m. W wiosce Samagaun, na wysokości zaledwie 3500 m n.p.m., muszę zawrócić. Z aklimatyzacji więc nici, ale trening udany – około 240 kilometrów z bardzo ciężkim plecakiem i ponad 10 tysięcy metrów przewyższenia. Gdyby liczyć od wysokości bazy, to jakbym trzykrotnie weszła na Everest!





## UCZESTNICY WYPRAWY

---

3-6 kwietnia 2019, Katmandu

Po dwóch tygodniach znów jestem w Katmandu i znów czuję się przytłoczona. Nie tylko z powodu chaosu, brudu, ścisiku i nieprawdopodobnego zanieczyszczenia powietrza. To miasto jest smutne i mnie jest w nim smutno. Jestem na nie za miętką. Trudno jest mi patrzeć na tę biedę, biedaków, żebraków, wiedząc, że nie jestem w stanie im pomóc. Do tego Katmandu po prostu nigdy nie cichnie. Samochody, klaksony, ujadanie psów, dzwony klasztorne, nepalska muzyka prosto z głośnika w kieszeni i te ciągłe głośne rozmowy. To tak, jakby do tego miasta przyjeżdżało się po to, żeby jak najszybciej chcieć się z niego wydostać. Do lepszego powietrza, do spokoju, do gór. Żeby poczuć, że wszędzie jest lepiej niż tu.

Z nepalskiego domu w dzielnicy Boudhanath przenoszę się do czterogwiazdkowego hotelu Royal Singi niedaleko Thamelu, najbardziej turystycznej części Katmandu. Na ulicy pod domem mojej nepalskiej rodziny łapię taksówkę, po krótkich negocjacjach ustalamy z kierowcą zadowolając obie strony cenę i ruszamy w stronę Thamelu. Gdy podjeżdżamy pod hotel, cena za przejazd momentalnie szybuje w górę. Przed wejściem do Royal Singi stoją boje hotelowi w eleganckich surdutach,

którzy natychmiast podchodzą do naszej małej, rozklekotanej taksówki i wyjmują moje bagaże. Nie mam sumienia kłócić się z taksówkarzem, tłumaczyć, że normalnie nie byłoby mnie stać na taki hotel, że jest w cenie wyprawy, na którą wydałam wszystko, co miałam. Poza tym wiem, że w przeciwieństwie do niego dla mnie ta kwota nie stanowi dużej różnicy.

Za szklanymi drzwiami hotelu rozpościera się hol, cały w marmurach, ze skórzanymi kanapami i kolorowymi malowidłami na ścianach. Czuję się tu nieswojo, nie pasuję tu w moich brudnych trekkingowych ubraniach, z zakurczonym plecakiem i starą, prującą się torbą podróżną.

Dwie noce w takim hotelu przed wyprawą i dwie noce po powrocie to część pakietu, który wykupują wspinacze. Postanawiam wykorzystać wszystkie cztery noce teraz, żeby odpocząć po trekkingu, w spokoju przygotować się do wyprawy i nacieszyć się wygodami przed tym, co mnie czeka w górach. Od teraz jestem członkiem wyprawy. Zaczyna się. Wspinacze powoli zaczynają zjeżdżać do Katmandu.

Beer Kajee najczęściej pracuje dla Mingmy G., właściciela agencji Imagine Nepal, z którą wybieram się pod Everest. To Beer Kajee skontaktował mnie z Mingmą.

Wejście na Everest z Imagine Nepal kosztuje około 40 tysięcy dolarów. To środkowa dolna półka cenowa. Ta – relatywnie rzecz biorąc – niewygórowana kwota bierze się między innymi stąd, że jest to agencja nepalska, która w przeciwieństwie do tych zachodnich nie potrzebuje miejscowego operatora, żadnych pośredników, nie zatrudnia dodatkowo przewodników na przykład z Europy czy Stanów Zjednoczonych. Pieniądze trafiają bezpośrednio do szefa i jego pracowników.

Mingma Gyalje Sherpa, zwany Mingmą G., ma 32 lata, choć jak większość Szerpów i w ogóle Nepalczyków, wygląda na znacznie starszego. Ma kruczoczarne włosy, ciemnobrązowe oczy, twarz poraną bliznami – wydaje mi się, że po młodzieńczym trądziku – w ustach często trzyma wykałaczkę. Pochodzi z Rolwaling, nie ma żony ani dzieci. Wspina się od 2006 roku, z miłości do gór i do pieniędzy. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie się wspinali, w końcu i jemu zaproponowano udział w wyprawie. Zgodził się i szybko zrozumiał, że w ten sposób może zarobić znacznie więcej niż na pracy biurowej. Ale wspinanie to nie tylko praca, Mingma ma ambitne cele – chce zdobyć Koronę Ziemi oraz Koronę Himalajów i Karakorum. Próbował też dokonać pierwszego wejścia na sześciotysięcznik Chobuche zachodnią ścianą z myślą o Złotym Czekaniu – znanej nagrodzie za osiągnięcia wspinaczkowe – i o rozgłosie. Rozgłos się pojawił, ale na Złote Czekany nie było szans. Mingma wszedł na szczyt, jednak z zejściem było znacznie trudniej. Po dwóch nocach biwaku bez sprzętu i jedzenia, które stracił podczas podchodzenia, musiał wezwać pomoc. Ze szczytu zabrał go helikopter. Gdy później, już w bazie, będę mówić innym, że jestem z Imagine Nepal, odpowie mi znaczące kiwanie głowami. Mingma G. jest dobrze znany. Mówi się, że jest dobrym wspinaczem, silnym, zdecydowanym, ale trochę szalonym. Jeśli Mingma ma cel, to uparcie do niego dąży. Chce, żeby klienci byli zadowoleni, ale liczą się również wyniki. Lubi wprowadzać na szczyt „pierwszych ludzi”. Jego agencja ma już na koncie kilka takich osiągnięć, między innymi wprowadzenie na Everest Chińczyka Xia Boyu w protezach po amputacji obu nóg, które *notabene* odmroził 43 lata wcześniej właśnie na Evereście. W tym roku Mingma będzie

prowadził na dach świata na przykład dwie Greczynki, które mogą zostać pierwszymi Greczynkami na Evereście. Sam do tej pory stanął na nim pięć razy.

Mingma jest dla mnie dobry, dobry poza to, za co mu płacę.

– Mingma, czy ja też mogę się wspinać na Lobuche? – pytam go, gdy tylko dowiaduję się, że taki jest plan dla pozostałych uczestników wyprawy. Ten himalajski sześciotysięcznik mają zdobywać dla aklimatyzacji. – Tylko, Mingma, nie mam sprzętu, nie mam butów, raków, uprząży... No, nic nie mam. Ale bardzo bym chciała, już kiedyś weszłam na sześciotysięcznik.

– Możesz – odpowiada Mingma.

– Naprawdę? – pytam zdziwiona.

– Tak – pada lakoniczna odpowiedź.

Dopytuję go jeszcze kilka razy, czy na pewno, i za każdym razem słyszę: „tak, na pewno“, aż wreszcie rozumiem, że Mingma nie żartuje, choć jest oszczędny w słowach i nie patrzy mi w oczy.

– Ze sprzętem nie ma problemu – rzuca. – Wyślę ci do bazy helikopterem.

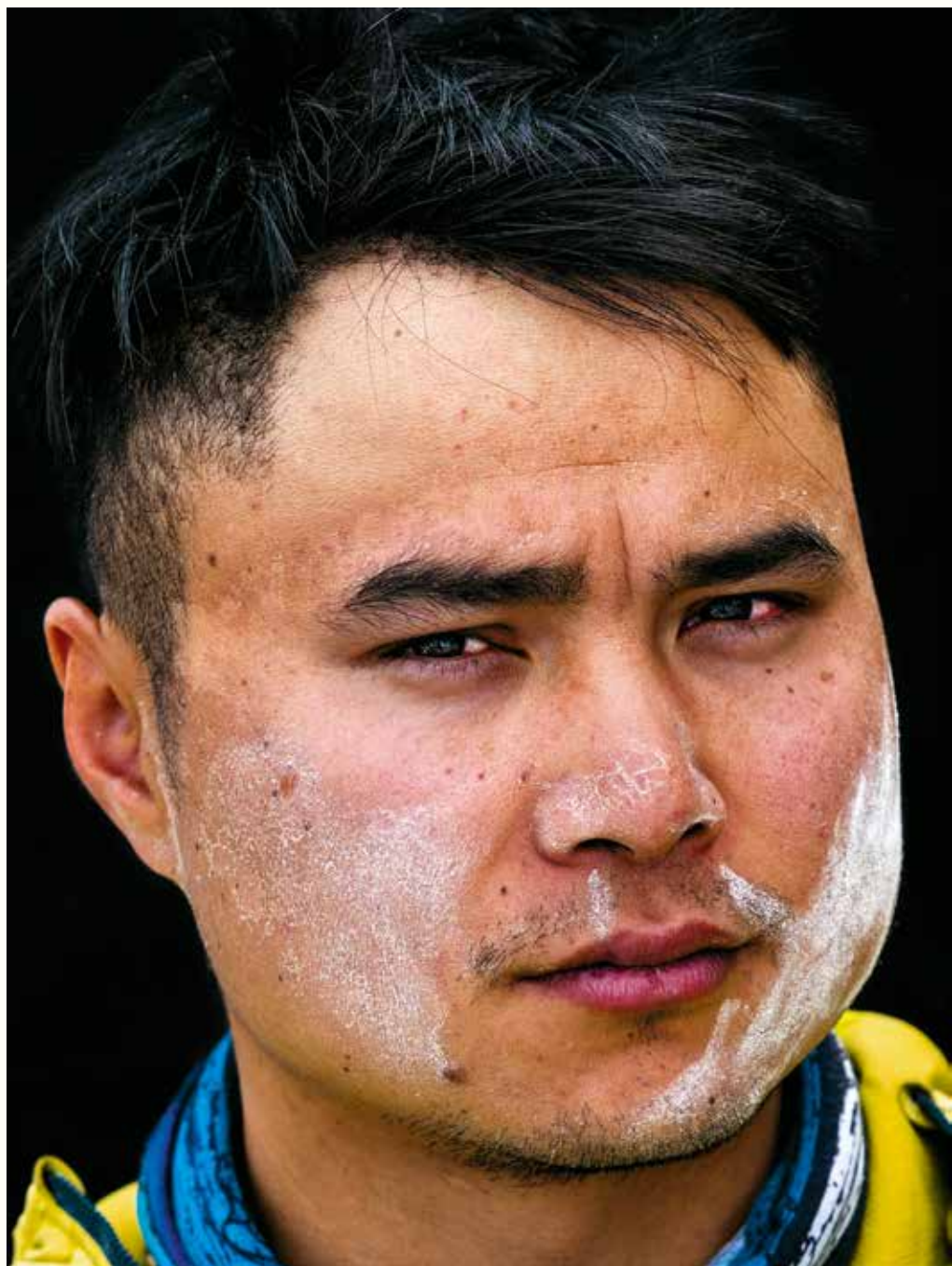
Mingma wycenił mój udział w wyprawie na 10 tysięcy dolarów. Trudno mi było uwierzyć, że muszę zapłacić aż tyle. Bo za co właściwie? Za spędzenie kilku tygodni w namiocie na lodowcu? Chciałam się jeszcze upewnić, czy nie da się tego zrobić taniej, napisałam więc mail do jednej ze znanych amerykańskich agencji z pytaniem, za ile wzięliby mnie ze sobą do bazy. Po jakimś czasie przyszła odpowiedź: 20 tysięcy dolarów.

Zaraz po przyjeździe do Katmandu trzęsącymi się dłońmi wręczyłam Mingmie 10 tysięcy dolarów, znów zadając sobie pytanie: co ja właściwie robię? Na ile podróży by mi to wystarczyło, na ile miesięcznych czynszów?

Jest niedziela wieczór, już drugi raz dziś wzięłam gorący prysznic w mojej luksusowej łazience. Ja, Mingma i dwóch członków wyprawy, którzy przylecieli do Katmandu jako pierwsi, idziemy do chińskiej restauracji. Nawet się cieszę z wyboru, bo w kółko tylko nepalskie jedzenie. Dopiero później zrozumieję, że Mingma ma słabość do Chin – czy też raczej do Chińczyków.

Pierwszego poznaję Sirbaza, Pakistańczyka. Nie umiem określić jego wieku. Ma ciemną karnację, czarne włosy, ciemnobrązowe oczy. Gdybym nie wiedziała, skąd pochodzi, pomyślałabym, że może jest z Iraku lub Afganistanu. Niewiele mówi, za to dużo się uśmiecha, przez co od razu czuję do niego sympatię. Sirbaz chce wejść na Everest i Lhotse bez korzystania z dodatkowego tlenu z butli. Wspina się ledwie trzy lata, a zdobył już Nangę Parbat i K2 właśnie w takim stylu. Tylko tyle o nim wiem, a w moich oczach już jest herosem, choć drobnej postury i nieco niższym ode mnie. Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo z takimi górskimi osiągnięciami i z takimi ambitnymi planami, bo Sirbaz ostatecznie chce zdobyć wszystkie ośmiotysięczniki bez dodatkowego tlenu. Ośmiotysięczników jest 14.

Na kolacji jest z nami też Yolo, Chińczyk. To nie jest jego prawdziwe imię, mówi, że prawdziwego i tak nie zapamiętamy. Z powodu takich trudności Chińczycy często sami nadają sobie imiona. YOLO, czyli You Only Live Once – żyje się tylko raz. W zeszłym roku bez korzystania z dodatkowego tlenu zdobył ośmiotysięcznik Manaslu, teraz ma plan podobny do planu Sirbaza – chce zdobyć Everest i Lhotse i też rozważa niekorzystanie z tlenu z butli. Jednak w odróżnieniu od Pakistańczyka nie wygląda na zawodowca, nie ma sportowej sylwetki, pod jego koszulką nie zarysowują się mięśnie, a jedynie otłuszczony brzusek. I dłonie ma takie delikatne – dłonie pisarza, lekarza, nie himalaisty.



Yolo ma 34 lata i jest milionerem. Założył kilka firm, które świetnie prosperują, i teraz jego główny dochód pochodzi z udziałów. Jest też współwłaścicielem szkoły biznesu. Jednak Yolo pochodzi z bardzo biednej rodziny. Gdy dorastał, ta bieda bardzo mu doskwierała i postanowił, że będzie dążyć do niezależności i wolności finansowej. Pracował tak długo i tak ciężko, aż mu się udało. Teraz, gdyby chciał, nie musiałby już pracować, jednak nie zarabia po to, żeby się bogacić, ale żeby wydawać – głównie na wyprawy i rozwój innych pasji. Wydaje też na swojego trzyletniego synka i jego przyszłość. A na tym polu pojawiło się wiele znaków zapytania, bo Yolo jest w trakcie rozwodu. Z żoną poznali się na studiach i dopiero później zdali sobie sprawę, że niewiele ich łączy, a dzieli głównie jedno – zamiłowanie Yolo do sportów ekstremalnych. Nie chciałby, żeby jego – niebawem już była – żona ograniczała w ten sposób ich syna. Dlatego zamierza walczyć o opiekę nad dzieckiem.

Yolo o Evereście pierwszy raz usłyszał w szkole, gdy miał 13 lat. Pomyślał wtedy, że fajnie byłoby zobaczyć najwyższą górę świata na własne oczy. Ale tylko zobaczyć, bo po raz pierwszy o jej zdobyciu pomyślał wiele lat później, w 2013 roku, podczas trekkingu w Tybecie. Tam wreszcie ją ujrzał, majestatyczną, największą. Wtedy, opowiada rozmarzony, zaczęła go wołać. Nie od razu się na nią porwał, poza trekkingami nie miał żadnego górskiego doświadczenia, wspinać zaczął się dopiero w 2016 roku. W 2018 wszedł na Aconcaguę (6962 m n.p.m.) i na Manaslu (8156 m n.p.m.). Na 2019 rok zaplanował już Everest. Yolo nie przygotowuje się do wspinaczki fizycznie, nie wyobraża sobie spędzania czasu na siłowni. Woli spokojne wędrówki na świeżym powietrzu. Yolo do wspinania przygotowuje się, jedząc, bo uważa, że we wspinaczce wysokogórskiej nie chodzi o sprawność fizyczną, ale o wytrzymałość. Poza tym

w drodze na szczyt i podczas ataku szczytowego dużo się traci na wadze, więc Yolo najpierw chce przytyć, żeby potem miał z czego tracić.

W odróżnieniu od Sirbaza, choć bardzo sympatyczny, niewiele się uśmiecha i tego wieczoru mówi głównie o śmierci. Opowiada nam o wypadkach, które widział i o których słyszał, o spadających helikopterach, lawinach i umierających himalaistach, przytacza statystyki śmiertelności na Evereście. Ledwo go poznałam, a już zaczynam się o niego martwić. Czy z takim nastawieniem można wyjść z tej wyprawy cało? Czy śmierć będzie wisiała nad tym Chińczykiem przez cały czas? Czy to on zginie w tym roku na Evereście?

Z tego wieczoru nie pamiętam wyglądu restauracji, jedzenia, drogi powrotnej do hotelu. Gdy kładę się do łóżka, wciąż mam wypieki na twarzy i myślę tylko o tym, kogo poznałam i z kim spędzę kolejne tygodnie. Nie wiem jeszcze, że to pierwsza z wielu takich nocy.

Na długo przed świtem do Katmandu przylatują kolejni wspinacze. Poznamy się następnego dnia.

O Greczynkach dowiedziałam się od Mingmy już wcześniej. Przesłał mi zdjęcie okładki jakiegoś kobiecego pisma, na którym widniały obie kobiety. „Będziesz mieć dobre modelki do fotografowania”, napisał pod zdjęciem. Jedna brunetka, młodsza od drugiej, rudej Greczynki. Obie w sportowych stanikach i kolorowych legginsach. Na tych opiętych legginsach jedna ma uprząż wspinaczkową, a druga za tę uprząż ją trzyma. Wygląda to zdecydowanie bardziej seksownie niż sportowo.

Poznaję je na śniadaniu. Bardzo przelotnie. Siedzą przy stoliku z jakimś mężczyzną, wszyscy troje są pogrążeni w rozmowie



i wcale nie wyglądają, jakby chcieli, żeby ktoś się do nich dośiadał. Ja śniadanie jem z Sirbazem i z Yolo, ukradkiem zerkając w stronę Greczynek. Nie bardzo przypominają kobiety z okładki. Młodsza, Christina, ma typowo grecką urodę: ciemne włosy, ciemną oprawę oczu, oliwkową cerę i wydatny grecki nos. Vanessa jest od niej widocznie starsza. Pierwsze, co zwraca u niej uwagę, to burza rudych włosów. Jest ładną, bardzo zadbaną kobietą w średnim wieku. Nie mam pojęcia, kim jest towarzyszący im mężczyzna, Mingma mi o nim nie wspominał. Wszyscy troje wyglądają na zmęczonych podróżą, rozmawiają podniesionymi głosami, mówią szybko i bez przerwy sobie przerywają. Nie wydaje mi się jednak, żeby się o coś kłócili, to chyba po prostu grecka natura.

Dziś nasz ostatni dzień w Katmandu. Ostatni w takim cieple i na tak małej wysokości. To też ostatnia chwila, żeby dokuścić brakujące rzeczy na wyprawę.

Po śniadaniu dostaję wiadomość od Mingmy. Pisze, żebym przyszła do pokoju Greczynek na przegląd ich sprzętu. Zabieram aparat – to może być całkiem ciekawe. Jeszcze na długo przed wyprawą Mingma wysłał każdemu uczestnikowi listę potrzebnych rzeczy. Teraz chce sprawdzić, czy niczego nie brakuje, czy wszystko jest i czy jest takie, jakie być powinno.

Na liście znalazły się wszystkie potrzebne ubrania, które zajmują na niej najwięcej miejsca. Dalej – buty i sprzęt wspinaczkowy, czyli między innymi raki, czekan, uprząż, różne karabinki i linki, sprzęt do podchodzenia i sprzęt do schodzenia, kask, gogle, czołówka i baterie do czołówki, składane kijki trekkingowe i – rzecz bardzo ważna – butelki na mocz. Na liście wymieniony jest też aparat fotograficzny. Później Mingma wyjaśni wspinaczom, że jeśli chcą mieć dobre pamiątkowe zdjęcia z dachu świata, to niech wcześniej obsługi tego aparatu nauczą

swoich szerpów. Poza tym w spisie wyszczególnione są rzeczy podstawowe, jak kosmetyki: na wiatr, na zimno, na słońce, na okres (przy tym ostatnim jest uwaga, że dotyczy tylko kobiet, może żeby mężczyźni przypadkiem nie zaopatrywali się na wyprawę w tampony...), a także książki, dziennik i długopis, a jeśli ktoś nie chce tylko czytać i pisać, to niech zabierze komputer i dyski z filmami na długie i zimne wieczory w bazie.

Greczynki i Mingma dokładnie wszystko sprawdzają, dotykają, rozkładają, składają, ważą w rękach, liczą. Dowiaduję się też, że ich towarzysz, dwumetrowy i nieco pokraczny brodac, to Dimitris, filmowiec i montażysta, który będzie kręcił o nich dokument. Nie wydaje się specjalnie miły, nie odzywa się do mnie, jest skupiony na filmowaniu. Staram się nie wchodzić mu w drogę. Z kontroli sprzętu wynika, że dziewczyny mają praktycznie wszystko, czego potrzeba, muszą dokupić tylko jakieś drobiazgi, na przykład cieplejsze skarpety. Zadają Mingmie dużo pytań o tlen. Czy na pewno dostaną wystarczającą liczbę butli i masek, czy sprzęt na pewno będzie wysokiej jakości, czy będzie dobrze działał? Te pytania pojawią się jeszcze wiele razy i będą padać głównie z ust Christiny. Duża jest różnica między Sirbazem a Greczynkami, myślę sobie. Znajdują się na dwóch końcach skali.

Ostatni wieczór w Katmandu spędzamy w nepalskiej restauracji przy nepalskiej muzyce. Są już wszyscy wspinacze z teamu międzynarodowego: Sirbaz, Yolo, Christina i Vanessa, są też Hindus Pranav i Kanadyjczyk Chad, których poznaję dopiero teraz. Nasza wyprawa będzie się składać z dwóch teamów, międzynarodowego i chińskiego. Tak ustalił Mingma. Tylko Yolo się trochę zagubił, zdążył już wsiąknąć w team międzynarodowy. Koniec końców będzie funkcjonował w obu. Pozostali Chińczycy jeszcze nie dotarli, ich lot do Katmandu został

odwołany. Mają dołączyć do nas jutro. Jest z nami też kilku szerpów, których zadaniem będzie wprowadzenie uczestników wyprawy na szczyt Everestu.

Jest trochę sztywno i niezręcznie. Za wiele nowych twarzy, za mało informacji. Wszyscy się nieco rozluźniają, gdy na stole pojawia się raksi, lokalny bimber, a na scenie, przy której stoi nasz stolik, zaczynają się ludowe tańce. Pranav okazuje się całkiem miły, rozmowny i wesoły, szeroko się uśmiecha. Tak jak ja ma na ręce wytatuowane góry. Tatuazowe rodzeństwo – śmiejemy się i sączymy bimber, choć ja bardziej udaję, że piję, bo wyjątkowo mi nie smakuje. Z Chadem, skupionym na rozmowie z jednym z szerpów, nie zamieniam tego wieczoru ani słowa. Przyglądam mu się tylko, jak siedzi wyprostowany na odchylonym krześle, ręce ma skrzyżowane na piersiach, wysoko uniesiony podbródek. Wydaje mi się niezbyt miły. Natomiast Greczynki wreszcie się rozchmurzają – jedzą, piją, zagadują, chyba dobrze się bawią. Dimitris też się rozluźnił i na chwilę zapomniał o pracy, tylko z rzadka sięga po małą kamerkę Go-Pro i nagrywa kobiety i mężczyzn wyginających się na scenie w kolorowych ludowych strojach w rytm nepalskiej muzyki.

Do hotelu wracamy około północy, kładę się przed pierwszą. Jest późno, ale z emocji znów szybko nie zasnę. Jutro naprawdę wszystko się zacznie. Myślę o ludziach, z którymi spędzę najbliższy czas. Są wśród nich kobiety i mężczyźni, doświadczeni wspinacze i amatorzy. Hindus, Pakistańczyk, Chińczycy, Greczynki, Kanadyjczyk... Dobra grupa referencyjna. Niedługo poznam ich bliżej.

Koniec fragmentu

Zapraszamy na  
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl) lub [www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

**SQN**STORE.PL labotiga.pl

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

